Zeszyt 32. Lwów dnia 20. Listopada 1879 **Rok I.**

STRZECHA OJCZYSTA

PISMO DLA RODZIN POLSKICH.

PRENUMERATA kwartalnie 1 złr. 50 ct. = 3 mark. | WYCHODZI dnia 10go, 20go 30go każdego miesiąca. | W. MANIECKI Wydawca i odpowiedz. za Redakcją

POKUTA.

POWIEŚĆ

Józefa Rogosza.

IX.

(C. d.) Na koncert przeznaczono nie salę balową, lecz salonik poboczny, przytykający do sali głównej Stosownie do zarządzenia gospodyni domu, służba zniosła tu krzeseł ilość dostateczną, a że pokój sam był obszerny, wszyscy zatem goście mogli się w nim wygodnie pomieścić. Gdy pp. Armatowicz i Zapolski we drzwiach się pojawili, od grupy pięknych kobiet, z któremi rozmawiał, oderwał się człowiek młody i przystojny, a zbliżywszy się do fortepianu, i powiedziawszy głośno: proszę! usiadł na taborecie, odrzucił w tył długie włosy i z namaszczeniem gotował się do wielkiego zadania, które się nazywa akompanjamentem. Na jego wezwanie, wysunęły się cztery postacie, dwie męzkie, dwie żeńskie, i nuty w rękach trzymając, stanęły szeregiem za plecyma pianisty. Miał to więc być kwartet i to kwartet z *Marty* Flotowa „Przy kołowrotku.“

Szczególnym zbiegiem okoliczności, wszystkie osoby biorące udział w kwartecie, były prawie równego wzrostu, mężczyźni bowiem rozrastali się wszerz, nie wzdłuż, i wszystkie miały nosy imponujące, a że stanęły w szeregu, więc z boku patrzący widział przedewszystkiem cztery bardzo rozwinięte organa do powonienia służące, co jednemu z dowcipnisiów posłużyło do zrobienia złośliwej uwagi, że był to koncert nie na cztery głosy, lecz na cztery nosy. Mimo tych nosów, wszyscy spiewali bardzo poprawnie, najgłośniej zaś sopranistka, panna Rypsia i bas, pan Kornel, który mówił sopranem, deklamował barytonem, a spiewał basem. Jakkolwiek nie jeden z naszych czytelników będzie to uważał za przesadę, my twierdzenie nasze raz jeszcze powtarzamy, dodając, że zjawiska tego rodzaju wśród rasy ormjańskiej często się powtarzają. Między nimi jest nadzwyczaj wielu mężczyzn bez wąsów, cienko mówiących i bezdzietnych. Ta rasa nie przyjęła się należycie w Europie, i tak samo jak węgierska, zamiast potężnieć, wymiera.

Gdy spiewać przestano, zgromadzeni zaczęli bić w dłonie i „brawo!“ wołać. Najgłośniej krzyczał sam gospodarz, który stojąc przy fortepianie, z rękami w kieszeniach, takiego głosu dobywał, że od niego drżały płomienie świec w pająku.

— Panna Rypsia! — wołał — robi *feror*, a pan Korneli z taką spiewał *brewurą*, i tak *patentycznie* głosu dobywał, że mnie to aż *zmarkotyzmowało!* Bodaj to taki koncert!

Pan Kajetan Armatowicz słyszał coś o narkotyzmie, z którego zrobił wyrażenie nie zrozumiałe dla drugich. Słuchacze idąc za jego przykładem, chwalili także i dziękowali spiewakom, dopóki ktoś nie zawołał: fora!

— Aha! fora! — powtórzył w lot gospodarz. — Nie wykpicie się lada czem, nie! *Nonens vonens* musicie nam państwo jeszcze co zaspiewać!

Po tem przemówieniu, posypały się prośby ze stron wszystkich, w których prym wiodła gospodyni domu. Jak się później okazało, amatorowie biorący udział w kwartecie, przypuszczając, że ich spiew będzie się bardzo podobał, przygotowali się z drugim kwartetem z „Fausta“ i tylko czekali, by ich gorąco proszono. Poszeptawszy między sobą, zmienili nuty i stanęli znowu za plecyma młodzieńca siedzącego przy fortepianie, i aby potem żadnej nie było przeszkody, panna Rypsia odchrząknęła w batystową chusteczkę, altystka wody się napiła, tenor nos wysiąkał, a bas otarł pot z czoła. Nakoniec ten ostatni głową skinął i kwartet się zaczął.

W salonie wszyscy słuch natężyli i aby jednego tonu nie uronić, każdy głowę naprzód wysunął; nikt też nie widział, że we drzwiach na prawo, pojawiła się ruda i zyzooka

fizjognomja wiernika Lejby, na lewo zaś siwa broda pachciarza Abramka. Wiadomo, że żydzi słyną z zamiłowania do muzyki, nie można się przeto dziwić, że obadwa słysząc pierwszy kwartet, opuścili swoje stanowiska chcąc lepiej posłuchać; lecz że tak jeden, jak drugi, nie zapomniał o swoich obowiązkach, więc Lejba idąc popychał przed sobą służących, by tymczasem bufetu nie okradli, Abramko zaś trzymał przy sobie wszystkich muzykantów, którymi miał się opiekować.

Zaczął się kwartet. Z początku szło dobrze, ale gdy bas kichnął niespodzianie, i pan Armatowicz głosem tubalnym: na zdrowie! zawołał, spiewacy stracili przytomność i każdy z innego tonu spiewać zaczął. Zrobił się chaos, wrzask, pisk, istna kocia muzyka. Między słuchaczami jedni ze śmiechu parskali. drudzy się gniewali, amatorowie zaś myśląc, że wytrwałością pokonają niesforność swoich głosów, dobywali coraz wyższych tonów, których nie mógł przygłuszyć nawet młody Liszt, mimo że bił oburącz w fortepian, który grzmiał, jęczał i huczał.

W tej chwili nadzwyczaj krytycznej, jeden Abramko złożył dowód największej przytomności. bo obracając się do muzykantów, zawołał:

— *Spielts an der Schönen blauen Donau!*

Żydki zagrali, a że z nich żaden sił nie szczędził, więc walec Straussa przygłuszył operę Gounauda, co słysząc panie i panowie rzucili się do sali balowej. W trzy minuty wszystko wirowało. Tak więc Abramko ocalił sytuację! Gospodarz chcąc mu za to okazać swoje zadowolenie, potrzykroć za brodę go pociągnął.

Towarzystwo. które się zebrało u państwa Armatowiczów, było przeważnie ormjańskie, i zaledwie kilkanaście osób należało do rasy czysto polskiej. Począwszy od A i B, a skończywszy na W i Z, wszystkie imiona starego testamentu, z których polscy Ormjanie nazwiska sobie potworzyli, licznie się tam powtarzały, chociaż nie brakło także nazwisk czysto ormjańskich. To też pan Adamowicz tańczył z panią Szomoro, pan Dawidowicz z panną Sapakas. pan Zacharjewicz z panią Wajas, a pan Izakowicz z panną Kamorosz.

Toalety były piękne, brylantów i pereł bez miary, ale w tej powodzi atłasów, jedwabiów, aksamitów, koronek, gaz i tarlatanów, wyróżniały się trzy toalety, mianowicie gospodyni domu, pani Laury, brunetki czterdziestoletniej, której twarz niezwykła, mająca w sobie coś demonicznego, zdaleka uderzała; pani Julji Wajas, pięknej szatynki trzydziestoletniej, która wszędzie chciała być pierwszą i pani Zapolskiej. Gdy ta ostatnia wchodziła do sali balowej, mężczyźni właśnie się sprzeczali, komu przyznać pierwszeństwo: pani Laurze czy Julji; zobaczywszy jednak panią Zapolskę, zapomnieli o obydwu poprzednich i odtąd szeptali między sobą, że tylko ta jest królową balu. Pani Zapolska miała w rzeczy samej świetną toaletę. Niedawno mąż, chcąc żonie zrobić niespodziankę, sprowadził jej z Paryża prześliczną suknię liljową, srebrem przetykaną, i mającą po wierzchu siatkę z nitek srebrnych; tę też suknię na dzisiejszy bal ubrała. Gałązki bzu kwitnącego, tak misternie zrobione, że od prawdziwych nie mógł ich nikt odróżnić, podpinały ją w kilku miejscach, aksamitka, na której wisiał medaljon rzadkiej wielkości i blasku, brylantami wysadzany, zdobił jej szyję toczystą, a włosy wdzięcznie uczesane, nie mające prócz białej róży żadnej więcej ozdoby, opadały w złotych lokach na jej ramiona białe i gładkie, jakby z marmuru wykute. Jak od tego tła liljowego jej czarne oczy odbijały, tego dokładnie nikt sobie nie wyobrazi. Aby wiedzieć jak była piękną, trzeba ją było widzieć.

Pani Laura patrząc na nią usta przygryzała, a gorące jej oko rzucało błyski złowrogie; pani Julja natomiast uśmiechała się, lecz takim uśmiechem, z poza którego przezierały łzy gniewu bezsilnego. Dotąd były tylko one, i każda mogła spodziewać się zwycięstwa, głosy bowiem panów chwiały się między jedną a drugą; przeciwnie teraz obie uczuły, że zostały przyćmione. Jak długo z sobą współzawodniczyły, były nieprzyjaciółkami, ale odkąd ujrzały nieprzyjaciela nowego, a tak niebezpiecznego, podały sobie ręce i przynajmniej chwilowo, jak serdeczne przyjaciółki gotowały się do wspólnego działania. Mimo niechęci, do pięknej sąsiadki przystąpiły z uśmiechem, mając na ustach tysiąc słów grzecznych; lecz gdy w pół godziny później pani Laura znalazła się umyślnie czy przypadkiem obok pani Julji, niezadowolenie długo wstrzymywane znalazło wyraz w rozmowie następującej:

— Przyznam ci się Juljo — rzekła pani Laura — że nie pojmuję, jak Zapolska mogła ubrać się w sposób tak wyzywający. Widocznie jedynie nad tem przemyśliwała. jak by oczy wszystkich mężczyzn na siebie ściągnąć.

— A mnie nie zdaje się — odpowiedziała pani Julja obojętność udając — by jej toaleta była wyzywająca, lecz że jak na dzisiejsze ciężkie czasy jest za droga, to każdy widzi. Ręczę, że kosztuje najmniej pięćset guldenów,

— Mąż warjat, że na takie zbytki pozwala! — potwierdziła gospodyni domu.

— On tę suknię sam jej sprowadził z Paryża.

— Sam? A to warjat skończony! I kto to się tak stroi, kto?... Córka aktorki!

— A uważasz — pani Julja zapytała — że prócz róży nic na głowie nie ma? Skromnisia... *sainte-nitouche!*

— Udaje dziewczynę, chociaż trzydziestka za plecyma... wątpię czy o trzy lata będzie młodsza odemnie, a ja bym się przecie nic odważyła ubrać tak nieprzyzwoicie...

Pani Laura, która tak młodą zrobić się pragnęła, mogła być śmiało matką pani Zapolskiej.

— Popatrz Lauro, jak ona kokietuje tego pana z czarną brodą... jak mu się przypatruje!

— Snać jedna broda jej nie wystarcza, więc drugiej szuka...

— A mąż stoi na boku i nic sobie z tego nie robi. Doprawdy, ja go nie pojmuję!

— Cóż chcesz, miał się czas przyzwyczaić.

— Jakto? Czy Zapolska lubi przyjaciół męża?

— I ty nie wiesz o tem? — odrzekła pani Laura, patrząc na mówiącą ze zdziwieniem. — Przecie za jej cnotę nikt by już złamanego grosza nie dał, ma się rozumieć prócz męża, któremu jeszcze się zdaje, że ma anioła. Biedny!

— Widać, że musi umieć udawać, skoro go tak łatwo oszukuje.

— Jej to bez trudności przychodzi... któż łatwiej oszuka, jak aktorka lub córka aktorki!

Tak więc za to, że była najpiękniejszą i miała toaletę najpiękniejszą, pani Zapolska została uznana przez dwie prawdziwe awanturnice za osobę wątpliwej moralności. Do takiej to broni uciekają się zawsze kobiety złe i próżne, gdy kto przypadkiem lub rozmyślnie podrażni ich miłość własną. Pani Laura i Julja długo jeszcze obmawiały sąsiadkę, każda z osobna w duszy nienawiść jej przysięgając, ale ponieważ obie wiedziały, że ich podejrzenia i zarzuty miały źródło w ich własnej wyobraźni, więc bojąc się, by z tego co złego nie wynikło, związały się słowem, że swoich uwag przed nikim nie powtórzą. To, co w pani Zapolskiej zdrożnego dostrzegły, miało jeszcze zostać ich tajemnicą.

Po pierwszym mazurze, pani Celina siedząc w jednym z dalszych pokojów, rozmawiała z ks. Józefem, który ją żegnał, gdy pani Julja wbiegła szybko i za rękę ją ujęła. Ksiądz widząc to, uścisnął rękę pani Zapolskiej i wyszedł, aby natychmiast do domu odjechać.

— Ach! pani, droga pani! — przemówiła trzydziestoletnia szatynka — dzięki Bogu, żem panią znalazła!

— Przecie byłam ciągle w sali.

— Prawda, ale w tańcu nie mogłam z panią mówić.

— Czy jaka tajemnica?

— Ach! wielka tajemnica droga pani! — odpowiedziała pani Julja po próżnym pokoju niespokojnie się oglądając — i ja bym jej może wyjawić nie powinna, ale ja pani tak dobrze życzę, ja tak panią kocham!

— Bardzo pani dziękuję za życzliwość.

— O! tak, tak, ja kochanej pani jestem bardzo życzliwą... chociaż tak rzadko się widujemy. Pani taka dobra, szlachetna! Biedne dziecko!

Z temi słowy rzuciła się na szyję młodej kobiecie, i całować ją zaczęła.

— Jeszcze raz pani dziękuję... ale jeśli łaska, proszę mi powiedzieć o co właściwie idzie?

— Ja drogiej pani powiem, byle to między nami zostało. Za moje dobre serce nie chciałabym mieć nieprzyjemności.

— Możesz pani być spokojną.

— Jeżeli tak, to kochanej pani powiem, że w Armatowiczowej masz pani wielką nieprzyjaciółkę, śmiertelną nieprzyjaciółkę.

Pani Celina wzruszyła ramionami.

— Nie wiem za co... znam ją tak mało... w jej domu jestem dopiero drugi raz.

— Wiem o tem i dla tego tembardziej się dziwię... Ale to kobieta zła... i gdybym była na miejscu pani, moja noga nie przestąpiła by więcej progu jej domu.

— Może bym i ja to uczyniła, gdyby mnie pani Armatowiczowa obraziła.

Piękna Julja uśmiechnęła się z politowaniem.

— Droga pani myślisz, że ona cię nie obraża? Ach! ona panią nawet znieważa... Przed chwilą słyszałam na własne uszy, jak lekceważąco o pani mówiła i nazwała panią córką aktorki.

Pani Zapolska drgnęła, pobladła, i brwi groźnie ściągnęła. Jakkolwiek zawsze była córką wzorową, największą przykrość jej sprawiało, jeżeli kto wspomniał kiedy, że jej matka była artystką. Dumna z natury, a zbyt jeszcze młoda, nie umiała wznieść się ponad zwyczajne sądy ludzkie, i w tem słowie „aktorka“ widziała rzeczywistą zniewagę. Prócz tego słowo to i z tej jeszcze przyczyny niemiłe na niej wrażenie robiło, że przez nie wycierpiał tyle jej ojciec i ona sama! Wszak dla tego, że matka była niegdyś artystką, z jej ojcem cała jego rodzina zerwała, a z nią pan Zapolski swojemu synowi nie pozwalał się żenić. Przygryzła usta, zmięła chusteczkę batystową, do twarzy ją przyłożyła i tonem podrażnionym rzekła:

— Bardzo pani dziękuję za te miłe wiadomości!

— Panią to zmartwiło... Boże! jak mi przykro! Gdybym była wiedziała, nie była bym ust otworzyła... lecz sumienie nakazywało ostrzedz kochaną panią. Biedne dziecko, biedne!

Pani Julja chciała swoją ofiarę znowu ucałować, lecz ta lekko ją odsunęła, a korzystając z pojawienia się swego dansera, który ją szukał, pospieszyła do sali balowej.

Tańczyła długo; chciała się upoić, zapomnieć, nie mogła. Przestała tańczyć i do męża pospieszyła, który stojąc we drzwiach opowiadał kilku panom rozmaite przygody myśliwskie. Wziąwszy go pod ramię, udała się do jednego z ostatnich pokojów.

— Romciu — rzekła — jedźmy ztąd jak najprędzej.

— A to co?

— Ja tu dłużej nie mogę zostać, mnie tu znieważają.

— Ciebie? Kto taki?

Mąż pytał głosem stanowczym i silnym jak żelazo.

— Nie myśl, że to mężczyźni, nie! To kobiety.

— Kobiety! — powtórzył pan Zapolski i lekceważąco ręką machnął. — Cóż ci jednak powiedziano?

— Pani Julja mówiła mi przed chwilą, że pani Armatowiczowa nazwała mnie wobec kilku osób córką aktorki.

— Jeżeli tylko tyle, nie ma się czem obrażać.

— Jakto? Ty tak mówisz, ty, mój mąż!

— Ja... alboż ci to ubliża, że twoja matka była artystką? Wszak to prawda.

Pani Celinie zakręciły się łzy w oczach.

— Otóż to mąż! Nawet się za mną nie ujmie... przyznam ci się Romciu, żem się tego nie spodziewała.

— Fanaberje Cesiu! Jakże bo się mam ujmować? Jeżeli zaraz odjedziemy, wszyscy to zauważają, i ta sama pani Julja, która tobie plotkę powtórzyła, nie omieszka w tajemnicy każdemu powiedzieć, dlaczegośmy odjechali... Jeżeli znowu za niesforny język żony, pana Armatowicza wyzwę i zastrzelę jak kuropatwę, popełnię zbrodnię, on bowiem jest w tej sprawie tak niewinny, jak każdy z jego wołów, które on aniołami nazywa. Zdaje mi się Cesiu, że najlepiej zrobisz, udając wesołość, bo całe to babskie gadanie nie warte naboju prochu. Pytanie jeszcze, czy pani Laura to powiedziała! Kto wie, czy pani Julja sama tego nie ułożyła. Baby złe jak sto djabłów, żeś najpiękniejsza, więc nie wiedzą co wymyśleć, aby ci dokuczyć.

Pani Celina nie mogła mu nie przyznać słuszności; mimo to nie tylko się nie uspokoiła, nawet miała żal do męża, że nie zrobił coś takiego, co by dla niej zupełną było satysfakcją. Co to być miało, nie wiedziała — jednak chciała, by koniecznie coś było. Miałże wyzwać pana Armatowicza? Broń Boże! takiemu pojedynkowi sama by przeszkodziła. Miałże znieważyć jego żonę? Tego nawet przypuścić nie mogła! Wszak ona w mężu swoim chciała widzieć człowieka rycerskiego, który pamięta, że dla dam nie można być dość grzecznym, a niegrzecznym być nie wolno. Więc czegoż pragnęła, czego? Alboż wiecznie pieszczona i psuta jedynaczka, której kaprysy były rozkazem dla wszystkich co ją niegdyś otaczali, mogła wiedzieć czego pragnie w tym wypadku? Dość że była rozdrażniona, niezadowolona, nie tylko z wszystkich i z męża, lecz także z siebie.

— Dobry wieczór państwu! — przemówił ktoś za plecyma małżonków, głosem bardzo melodyjnym.

— Konrad! Bodaj cię! — zawołał pan Zapolski obracając się do nowoprzybyłego. — Myślałem, że już nie będziesz!

— Wracam właśnie z polowania! Cały dzień strzelaliśmy dziś u Kazia krzyki.

— I ja dziś strzelałem na złość mojej pani, a jednak już od dwóch godzin tu jesteśmy.

— Od Kazia cztery mile opętane.

— Jeżeli panowie chcecie dalej mówić o polowaniu, to bądź tak dobry Romciu i odprowadź mnie do sali... nie chcę panom przeszkadzać.

— Jeżeli pani pozwolisz, a mąż nic przeciw temu mieć nie będzie, ja panią odprowadzę. Grają właśnie walca, a Romcio nie wiem czy się już tańczyć nauczył.

— Ja tylko z dzikami umiem tańcować... zresztą chowam na to syna, by mnie zastępował.

Konrad Wodyński podał ramię pani Celinie. Mąż szedł za nimi licząc w pamięci krzyki, które jeszcze na moczarach zostawił.

X.

Wsparta na ramieniu pierwszego w okolicy dansera, młoda kobieta puściła wodze myślom, które jak taniec w sali wirowały w jej pięknej główce.

Chociaż plotek nie lubiła, zawsze wiedziała, co się w sąsiedztwie dzieje, nie ma bowiem okolicy tak wybranej, któraby nie miała czy to starych panien, dla których plotki są przyjemnością największą, czy starych kawalerów lubiących wiele mówić, czy wreszcie pieczeniarzy z zawodu, którzy jeżdżąc, gdzie się z komina kurzy, opowiadają tajemnice z całego powiatu. Dzięki jednemu z tych ostatnich, który do Przyboczy często zaglądał, pani Celina wiedziała, odkąd za mąż wyszła, że jej sąsiadka, pani Armatowiczowa, nie należała do żon wzorowych. Wyszedłszy za dobrodusznego Ormjanina, dała mu w pierwszym zaraz tygodniu do zrozumienia, że się poświęciła oddając mu swoją rękę; albowiem panna Laura Piskorska, pochodząca ze starożytnej szlachty polskiej, mogła śmiało wyjść za księcia; jeżeli więc poślubiła Armatowicza, to on powinien zrozumieć, jaki skarb posiada, i strzedz go jak oka w głowie. Pan Armatowicz przyznał jej słuszność zupełną i bez walki pozwolił się zawojować. Odtąd pani robiła co chciała. Pod pozorem, że na wsi nie ma domu stosownego, że zbyt blisko stoi gorzelnia, z której niemiłe zapachy dolatują, i w ogóle że powietrze w Żurawce jest bardzo niezdrowe, zamieszkała w pierwszym zaraz roku pożycia małżeńskiego w stolicy kraju, gdzie tak umiała lekarzy dla swoich planów pozyskać, że gdy później pan małżonek widząc, iż Laurunia trochę go za drogo w mieście kosztuje, chciał raz koniecznie na swojem postawić i na wieś ją zabrać, ci oświadczyli jednomyślnie, że jeżeli to uczyni, żonę z pewnością zabije, gdyż słabe jej piersi nie zniosą ostrego powietrza wiejskiego. Słysząc to, mąż znowu ustąpił. Pani mieszkała więc stale w mieście, pan zaś zamiłowany w gospodarstwie, siedział ciągle na wsi i zaledwie raz na dni czternaście do żony przyjeżdżał. Jeżeli przyjechał na dzień lub dwa, czuła małżonka całowała go, pieściła, uwielbiała, zabierając przy tej sposobności wszystkie pieniądze jakie z sobą przywiózł; lecz jeżeli mąż okazywał chęć zabawienia dłużej, czwartego dnia uskarżała się na wielką migrenę i ból piersi, a piątego taka już była chora, i tyle mężowi robiła wymówek, nazywając się jego ofiarą nieszczęśliwą, że ten przed zachodem słońca spieszył na kolej, klnąc się na wszystkie świętości, że już nie tak prędko do żony przyjedzie. Jeżeli lato było bardzo piękne, a pani Laura nie potrzebowała dla poratowania zdrowia kąpieli zagranicznych, zjeżdżała na kilka dni do Żurawki, co małżonek poczytywał sobie za szczęście najwyższe. Wprawdzie w tych dniach na wsi spędzonych, ciągle w sąsiedztwo jeździła, i pobyt jej

w domu własnym można było liczyć zaledwie na godziny, wszakże dla pana Armatowicza, którego powszechnie „wdowcem słomianym“ nazywano, nawet to było łaską. On kochał tę kobietę i kochał prawdziwie, a za co? Tego nikt nie mógł pojąć.

Pani Armatowiczowa nie mając dzieci, powiedziała sobie, że będzie się bawić i dotrzymała słowa. Jej salon był ciągle otwarty, setki ludzi rożnego stanu i wieku przesuwało się po jego szklących parkietach. Dawniej, gdy była młodą i piękną, przyjmowała obie połowy rodzaju ludzkiego, odkąd jednak zaczęło jej lat przybywać, wdzięków zaś ubywać, coraz bardziej odsuwała się od kobiet, a zapraszała na herbatki coraz więcej mężczyzn. Prócz tego dawniej bywali u niej mężczyźni różnego wieku; przeciwnie teraz tylko młodzi. Między nimi spotykało się nawet chłopców ośmnasto i dwudziesto-letnich.

Czy pani Armatowiczowa mimo tych upodobań nie zeszła z drogi cnoty? Różnie tam o tem ludzie mówili... Dla tych, którzy bywając w jej domu, wychwalali jej wdzięki, była ofiarą człowieka, który jej ani zrozumieć, ani ocenić nie umiał; przeciwnie ci, którzy na nią patrzyli okiem obojętnem a bystrem, mówili o niej jak o kobiecie rozwiązłej i niebezpiecznej, dla której nie ma nic świętego. Według ich przekonania, pani Laura nie odpoczywała ani godziny, lecz kochała się ciągle, i jak tylko sprzykrzył jej się jeden ulubiony, niezwłocznie drugim go zastępowała. Nie chcąc zająć się niczem poważniejszem, potrzebowała mieć obok siebie zawsze kogoś, co by ją bawił i ubóstwiał; że zaś musiała mieć jakąś siłę przyciągającą, dowodem tego ta okoliczność, że żaden z odtrąconych wielbicieli źle o niej nie mówił, a byli między nimi i tacy, którzy się w niej ciągle kochali.

Chociaż nie była Ormjanką, miała cerę śniadą i rysy ostre, surowe, w których jednak tyle było uroku, że ktokolwiek ją poznał, od pierwszego zaraz wejrzenia czuł się ku niej pociągniętym. Uśmiech miała cudowny, rączkę białą, delikatną, nóżkę dziecięcą, humor niezrównany, a że codzień kąpała się w wodzie studziennej, więc mimo lat czterdziestu zachowała rzeźwość młodzieńczą.

Ile serc rozdarła, w ile dusz wlała truciznę zwątpienia, tego nikt nie wiedział, ale w ostatnich czasach, z wyjątkiem jednego pana Armatowicza, wszyscy głośno mówili, ze kochała się szalenie w Konradzie Wodyńskim, człowieku młodym, miłym i lekkomyślnym, który żył ciągle jak szuler, stawiający na kartę grosze ostatnie. Ich romans przerwał się był przed rokiem, Wodyński bowiem nagle się ożenił, ale gdy w pół roku żona mu umarła, pani Laura zaczęła go znowu otaczać troskliwą swoją opieką. Mówiono nawet, że głównie dla tego sprowadziła się teraz na wieś do męża, by być bliżej pana Konrada, który z powodu pogorszenia się stosunków finansowych, nie mogąc dłużej w mieście bawić, rad nie rad przeniósł się do swojego majątku, leżącego w pobliżu Żurawki.

To wszystko, cośmy dotąd powiedzieli, powtarzano sobie w okolicy, a więc i pani Celina nie raz to słyszała; lecz ile w tem było prawdy, nikt nie mógł zaręczyć. Gdyby raz się przekonano, że pani Laura w rzeczy samej wiodła życie tak rozwiązłe, ludzie, jakkolwiek bardzo są pobłażliwi dla osób bogatych, byli by przecie musieli przez wzgląd na swoje żony i siostry wycofać się z towarzystwa kobiety tak niebezpiecznej; przeciwnie dziś, nie mając prócz podejrzeń i zarzutów gołosłownych, żadnych dowodów, przyjmowali ją jak dawniej, a gdy bal dała, wszyscy się do Żurawki zjechali. (C. d. n.)

MAŁŻEŃSTWO PIĘCIODNIOWE.

Urywek z dziennika.

Z FRANCUZKIEGO PRZEZ H. W.

(C. d.) Nie tyle jeszcze była zimną, dla mnie Ernestyna, ile raczej niepewną, zażenowaną moją obecnością, jakby nie mogła się dotąd oswoić, że jestem przy niej. Czasem znowu, jakby sobie wyrzucała swoją obojętność, miała gwałtowne napady czułości. Rzucała mi się na szyję, klękała przedemną okrywając ręce i kolana pocałunkami. Te nagłe zwroty znajdowały mnie zawsze tak zupełnie nieprzygotowanym, że więcej mnię przestraszały i dziwiły niżeli rozczulały. Następowały zwykle, wskutek żywszego między nami nieporozumienia, tem mniej zatem były naturalne, a i moje serce boleśnie dotknięte w tej chwili, tem mniej było skłonne wziąć je za prawdę. Nawet żal za winę popełnioną, jeżeli z serca nie płynie, może być niewczesnym i niepożądanym drugiej stronie. Żeby była w nim miara zachowana, i żeby mógł rozbroić gniew słuszny, trzeba koniecznie, by go szczera miłość natchnęła. Niezgrabność i nieumiejętność w tym przypadku, jest zawsze dowodem braku uczucia.

Z jednej, jak z drugiej strony, usiłowaliśmy zbliżyć się i porozumieć. Byłbym dał połowę życia mojego, by módz się przypodobać Ernestynie, by ją czemś zająć, wyrwać z tej dziwnej apatji, tak nie naturalnej w młodej kobiecie. Dusze nasze zdawały się gonić jedna za drugą nigdy się nie znajdując. Gdy ja byłem smutny, Ernestyna ożywiała się niezwykle, gdy przeciwnie mnie coś rozweseliło, ona zapadała w zwykłą melancholją. Nie mogły dusze nasze przyjść do porozumienia, bo nie było między niemi punktu zbornego, na którym by się zejść mogły, nie było nici sympatycznej, która by nam służyła za przewodnika w tym labiryncie.

Czas zamiast łagodzić, zaostrzał nasze stosunki wzajemne. Moje usposobienie stawało się z każdym dniem zgryźliwsze i przykrzejsze.

Ta walka wyczerpywała moje siły, moją cierpliwość. Czułem, że cierpię, a nie umiałem sobie zdać z tego sprawy. Walczyłem z czemś nieuchwytnem, z jakiemś widmem, z jakąś głuchą boleścią, która życie mi truła, a ja nawet nazwać jej nie umiałem. Zrywałem się czasem

jak warjat. Wybuchałem gniewem gwałtownym. Pytałem Ernestynę z okiem pałającem, z przekleństwem na ustach, dla czego nie jesteśmy szczęśliwi? Ona mi jedynie łkaniem piersi rozdzierającem odpowiadała, a to mnię do wściekłości doprowadzało.

Chociaż po takich scenach, następowała zaraz skrucha i żal szczery, a wybaczliwość i łagodność Ernestyny nigdy mnie nie zawiodły, zawsze darowywała mi najchętniej moje wykroczenia, przecież pamięć moich szalonych wybuchów nie zacierała się w jej umyśle. Stała się taką nerwową, tak lękliwą, że dość było ruchu żywszego, słowa głośniejszego, by ją poruszyć do głębi. Drżała na dźwięk mego głosu, mieniła się i płakać zaczynała gdym na nią spojrzał. Była to sroga kara, za moje uniesienia. Trudno sobie wyobrazić, jak mi to było bolesnem! Byłbym wszystko poświęcił, żeby być przez żonę kochanym, żeby ją uczynić szczęśliwą, a ona wyglądała przy mnie jak ofiara, w obec swego tyrana. Obrzucałem Ernestynę gorzkiemi wymówkami, że mnię tak zapoznaje, lub szlochałem jak dziecko u jej nóg. Po takich przejściach, coraz głębsza przepaść nas dzieliła, coraz większy strach wzbudzałem w Ernestynie.

Zacząłem więc panować nad sobą. Stałem się znowu zimnym, każde słowo, każdy ruch naprzód obrachowywałem. Milczeliśmy teraz najczęściej oboje, studjując się tylko z daleka, niemal jak dwaj zapaśnicy, którzy patrzą uważnie na siebie, zanim skrzyżują mordercze żelaza. Najniebezpieczniejsze niesnaski w małżeństwie są te, które na wierzch nie wypływają, nurtując tylko głucho w głębi serc i umysłów. Teraz byliśmy gorzej jak obcy dla siebie. Serca nasze pełne były kłótni gwałtem na dnie tychże zatrzymanych, gorzkich wymówek nie wypowiedzianych, boleści piekących a utajonych, jednem słowem: pełne były jadu trującego. Były one podobne do krateru wulkanu. Zdaje się zupełnie spokojnym, wygasłym. Nawet najlżejszy dymek nad nim się nie unosi... a za chwilę buchnie może płomieniem, zaleje lawą rozpaloną całą okolicę.

W początkach mego pobytu w Savenière, chciałem zająć się moim synem. To dziecko jednak było tak wiernem matki odbiciem, jakby dotąd było z jej sercem związane. Te same przeszkody spotykałem u niego, których u Ernestyny niczem zwalczyć nie mogłem, spotęgowane atoli nieopatrznością i naiwnem okrucieństwem dziecka, które jeszcze się nie nauczyło ukrywać z uczuciami, nie umie nawet zachować form grzeczności, w braku uczucia, tylko okazuje całkiem szczerze, czy kogo lubi, czy też nienawidzi. Niczem nie potrafiłem przywiązać, przyzwyczaić go do mojej osoby. Ten opór w dziecku, ten zawód tak bolesny ze strony syna, zrobił mnie jeszcze smutniejszym. Czułem teraz podwójnie moją samotność, moje opuszczenie. Przestałem myśleć o synie, wiedziałem przecież doskonale, że ten brak sympatji u niego, jest tylko wiernem echem uczuć matki dla mnie. Znowu mi w sercu zakipiało, nic jednak na wierzch nie wyszło. Przyzwyczaiłem się już ukrywać moje uczucia, taić się z niemi przed Ernestyną. Za to tem głębiej wpijały one swe szpony rozpaczy, zwątpienia, w to moje biedne, zapoznane serce.

Gdybyśmy żyli w mieście, może nie byłaby mi wydała się tak straszną próżnia mego życia. Tam przynajmniej mnogość rozrywek, zastępuje częstokroć brak ogniska domowego. Na samym wstępie atoli wziąłem się gorąco do ulepszania gospodarstwa w Savenière. Pozakładem fabryki rozmaite, rozpocząłem eksploatację lasów na wielką skalę, to wszystko wymagało mego oka, mojej obecności. Byłem związany jeszcze na lata. Nie mogłem ruszyć się na czas dłuższy z Savenière.

Postanowiłem porobić znajomości, nawiązać stosunki w okolicy. Myślałem, że tem ożywię naszą samotność, że odwidziny obcych wpłyną zbawiennie na Ernestynę, wyleczą ją z marazmu, w który popadła. Znowu zawiodłem się najfatalniej.

W mieście można gościa nieprzyjąć, gdy się nie jest po temu usposobionym, na wsi jest się jego niewolnikiem. W mieście, stosunki towarzyskie zostają latami na stopie ceremonialnej, na wsi przechodzą w stadjum nader niebezpieczne, zażyłości sąsiedzkiej. Niedługo serdeczność i przyjacielskość moich sąsiadów nie miała granic. Byłem w ciągłem oblężeniu, nie miałem chwili wolnej. Zbierano się u mnie tłumnie. W dowód sąsiedzkiej miłości, zwożono mi całą mnogą rodzinę, dzieci, wnuki i prawnuki, jeżeli kto był tyle szczęśliwym, że żyjąc odmładzającem wiejskiem powietrzem, doczekał się takowych w czerstwej i ruchliwej starości. Plondrowano mi z kwiatów najpiękniejszych klomby, zabierano bez ceremonji najrzadsze owoce, dzieci tłukły i niszczyły, co im pod ręce wpadło. Miałem wkoło siebie ciągły gwar, ciągły niepokój, dom mój jednak nie był dla mnie ani weselszym, anim się nie czuł w nim swobodniejszy. Teraz gdy nas tyle osób otaczało, straciłem do rzeszty sposobność porozumienia się z moją żoną. Dałem wreszcie za wygranę, zadowalniając się tą odrobiną życzliwości, którą mi okazywała. To jednak postanowienie być bądź co bądź spokojnym, a nawet ile możności udawać wesołego, kosztowało mnie niesłychanie wiele. Grunt mego charakteru stanowiła szczerość i otwartość, a ja ciągle grałem komedją człowieka szczęśliwego, jak ów gladjator ranny śmiertelnie, który ręką zatykał ranę, a w koło uśmiechy rozsyłał. I moja rana krwawiła się boleśnie, ale na wewnątrz. Bóg tylko i moje serce o niej wiedziało.

Ernestyna ani na włos się nie zmieniła. Jak zwykle, przyjęła z pokorą moje nowe rozporządzenie, nie sprzeciwiła się w niczem, odwidzała wraz ze mną kogo sobie życzyłem, myślała o wszystkiem i o wszystkich, przesuwała się jednak między nami zawsze z równą obojętnością, z równem roztargnieniem. Nic jej nie bawiło, nie cieszyło nie zdawało się zajmować, chociażby przelotnie. Było to dla mnie najlepszym dowodem, że życie dla tej istoty niema więcej powabów, czy że się na zawsze wyrzekła tego, co ludzie zwykli nazywać rozkoszą i używaniem, czy że ona tak wysoko umieściła swoje ideały, że tu na ziemi nic jej nie mogło zadowolnić, dość że zwątpiłem na zawsze, z sercem boleścią przejętem, bym mógł być

czemkolwiek w tej egzystencji, do której sama Ernestyna zdawała się najmniejszej wagi nieprzywiązywać.

Pewnego dnia, gdy liczniejsze niż zwyczajnie zebrało się u nas towarzystwo, ktoś nadmienił:

— Pan Alfred Clermont wkrótce w te strony przyjeżdża.

Przypomniałem sobie, żem niegdyś wiele słyszał, o młodym nader biegłym w swej sztuce lekarzu, który był bardzo wziętym w rodzinie Ernestyny. Stosunki z nim przerwały się były przed jej zamęściem, z jakich atoli powodów, tego się nigdy nie dowiedziałem, bo i nie byłem ciekawy pytać o sprawę, która mi tak była zupełnie obojętną.

Wypytywałem się o niego i dowiedziałem, że jest to człowiek poświęcony wyłącznie nauce, związanej z jego zawodem, że nie jest jednak jednym z tych nudnych, ciężkich pedantów, przeciwnie, jest człowiekiem nader miłym i sympatycznym. Postanowiłem korzystać ile możności z blizkiego sąsiedztwa, póki on bawi w naszych stronach. Chciałem wynagrodzić sobie przez krótki czas przynajmniej nudę, którą nie raz znosić musiałem od innych sąsiadów, nie grzeszących bynajmniej rozumem. Obcowanie częste z człowiekiem wykształconym, który przecież o świat wyższy się ocierał, poczytywałem jako prawdziwą na wsi niespodziankę, a zarazem wielką dla mnie przyjemność.

W tydzień później, zapewniwszy się że pan Clermont już przybył, pospieszyłem do jego wuja, który zresztą chciał nabyć odemnie część lasu z jego majątkiem graniczącego. Gdyśmy interes umówili, wspomniałem panu de Moirand, jakbym pragnął poznać bliżej jego siostrzeńca, o którym tyle dobrego słyszałem, który nie tylko jest znany, jako sławny lekarz, ale także jako najmilszy towarzysz.

— Oh! on dodnia wychodzi na pole i do lasu — odpowiedział mi pan Moirand — my sami nie widzimy go aż późno wieczór. Cały czas spędza na herboryzowaniu, na czytaniu, lub zbieraniu widoków do swego albumu, bo i rysuje przy tem znakomicie. Może go pan spotkasz kiedy, nawet na własnem twojem terytorium. W swojem zamyśleniu nie uważa wcale na granice. Jest to marzyciel i odludek. Łatwo go poznać po czapeczce słomianej, po fuzji przewieszonej wprawdzie przez ramię, ale z której i raz na miesiąc nie wystrzeli, po torbie wreszcie strzeleckiej, w której atoli zawsze pełno książek i ziół rozmaitych, a zwierzyny daremnie by tam szukać.

— Racz mu pan powiedzieć, jak gorąco pragnę go poznać, a może będziecie łaskawi po sąsiedzku zjeść jutro u nas obiadek. Będziemy czekać panów oboje z niecierpliwością.

Pan Moirand przyjął zaproszenie w imieniu swojem i swego siostrzeńca, nazajutrz jednak sam się stawił, tłumacząc siostrzeńca pilnemi w mieście interesami. W kilka dni później gdym wracał wieczorem do domu z dalekiej po polach objażdżki, oddano mi jego kartę wizytową. Było mi nader przykro, że mnie pan Clermont w domu nie zastał. Napisałem mu to całkiem szczerze, prosząc usilnie, żeby jak najczęściej odwidzał Savenière. Odpisał z najwyższą grzecznością, tak jednak ogólnikowo zbyt kwestję swoich odwidzin, że właściwie nie obiecał mi się wcale.

Wszelkie nowe w tym względzie usiłowania spełzły na niczem, a mimo iż odmowa była zawsze ubrana w formy najgrzeczniejsze, nie mniej widziałem jasno, że pan Clermont nie życzy sobie mojej znajomości. Ubodło mnię to. Moje stosunki majątkowe, nazwisko, wreszcie i własne przymioty, przyzwyczaiły mnię, że każdy z radością przyjmował moją chęć zbliżenia się do niego. Wyraziłem Ernestynie, jak się czuję dotkniętym złą wolą pana Clermont, i że będę koniecznie żądał tłumaczenia, dla czego tak postępuje. Nie miałem na to czasu, gdyż nazajutrz zjawił się znowu w mojej nieobecności, zostawiając dla mnie najgrzeczniejszy bilet, tudzież kilka nowych broszur, które czytać pragnąłem.

Ta pamięć, staranie się dla mnie o broszury, chęć widoczna zrobienia tem przyjemności, uspokoiły cokolwiek mój gniew i słuszne oburzenie, chociaż nie umiałem sobie wytłumaczyć tej sprzeczności.

Z jednej strony grzeczność uprzedzająca, z drugiej taka niechęć, wstręt prawie zbliżenia się do mnie i ze mną obcowania. Wreszcie przypadek położył koniec tej ciuciubabce w którą graliśmy od miesiąca z panem Clermont, co było widocznie z góry przez niego obrachowane.

Zachęcona prześlicznym wieczorem, oświetlonym w dodatku blaskiem księżyca w pełni, Ernestyna dała się namówić na przechadzkę. Od pewnego czasu, była bardziej niż zwyczajnie osłabioną i zdawała się więcej cierpieć, choć o tem nie wspominała. Miałem nadzieję, że świeże powietrze, balsamiczna woń siana świeżo skoszonego, wpłynie na nią zbawiennie. Noc zapadała, jasna i cicha. Wietrzyk orzeźwiający pociągał od lasu, gdzie niegdzie jeszcze świegot ptaszków spóźniony dawał się słyszeć, bydło rycząc przeciągle i żałośliwie do domu wracało. Natura usypiała, a jednak tyle w niej było siły żywotnej, czuło się, że ta noc pokrzepi, odświeży całe przyrodzenie, że wszystko wstanie nazajutrz raźniejsze, weselsze. I Ernestyna zdawała się odżywać, wraz z całą naturą. Chód jej stał się pewniejszy, elastyczniejszy, lekki rumieniec na twarz wystąpił, oczy blasku nabrały, uśmiech nawet zaigrał na jej ustach, zwykle ściętych, jakby bolem wewnętrznym, cała twarz jej zmieniła się i była jakby opromieniona. Wziąłem ją pod rękę, pytając troskliwie czy czuje się lepiej. Nim zdołała mi odpowiedzieć, padł strzał o kilka kroków od nas, pies gończy z lasu wyleciał, a za nim ukazał się młody, przystojny strzelec. Ernestyna krzyknęła przeraźliwie i omdlała w mojem objęciu. Młody człowiek spostrzegłszy nas zbladł okropnie, i zapytał drżącym głosem:

— Przez miłosierdzie Boże! Co to się stało?

Ernestyna wracała zwolna do przytomności:

— Nic, nic — szepnęła — przestraszyłam się trochę...

Strzelec zbliżył się do nas z kaszkietem w ręku, i z oczami w dół spuszczonemi:

— Racz mi pani darować — rzekł mocno wzruszony — jestem winny podwójnie, przestraszyłem panią i ośmieliłem się strzelać na cudzym gruncie. W mojem roztar-

gnieniu nie uważam częstokroć na granice, a miejsce to tak odludne, że nie spodziewałem się spotkać nikogo.

— Bardzo dla pana szczęśliwie się zdarzyło, żeś spotkał nas, a nie gajowego — odrzekłem.

— W istocie nie pojmuję jak mi się to mogło wydarzyć. Musiała zwierzyna trącić chyba o mnie, by mnię wyrwać ze zwykłej zadumy. Nie wiem czy raz na tydzień zdarzy mi się z fuzji wystrzelić — tłumaczył się dalej.

Rzuciłem na niego okiem uważniejszem. Uderzyła mnie czapeczka słomiana i torba myśliwska pełna kwiatów.

— Czy mogę zapytać pana z kim mam zaszczyt mówić? — zagadałem.

— Jestem Alfred Clermont — i nisko skłonił się nam obojgu.

— Dalipan! — w głos się roześmiałem — przypadek usłużył mi lepiej, niż wszystkie moje zabiegi. Już byłem zwątpił, żebym kiedy mógł się zejść z panem, tymczasem wpadasz sam w sidła, i musisz zdać się na łaskę i niełaskę. Teraz już nie idzie, czy pan chcesz przyjąć zaprosiny nasze, lub nie. Zastałem cię polującego w moim parku i zabieram do zamku jak delikwenta.

— Doprawdy! jesteś pan zbyt łaskaw.... muszę jednak wracać... wuj czeka na mnie... mógłby być niespokojnym.

— Poszlę konnego, by go uprzedzić, żeśmy pana zabrali przemocą.

— Mam pilne listy do wysłania.

— Ztąd je wyszlemy.

— Macie państwo pewno gości w zamku, a jam w stroju strzeleckim, całodziennym chodem mocno zakurzonym...

— Jesteśmy zupełnie sami.

Pan Clermont wymawiał się coraz więcej niepewny i zażenowany, ja zaś naciskałem coraz bardziej, chcąc wreszcie dociec prawdy, i wiedzieć bez ogródki dla czego nie chce być w Savenière. Milczenie — niby zawieszenie broni — trwało przez chwilę.

— Więc pana zabieramy — znowu zacząłem nalegać.

— Racz pan darować. W istocie w żaden sposób dziś służyć nie mogę....

Zmierzyłem go oczyma. Opór tak stanowczy wydał mi się prawie obelgą.

— Nie rozumiem — rzekłem najspokojniej, chociaż głos mój drżał oburzeniem tłumionem — czem mogliśmy zasłużyć na tak widoczną niechęć z pańskiej strony, dla czego odrzucasz pan wiecznie i zawsze nasze najlepsze chęci, nasze zaprosiny najserdeczniejsze? Musisz pan zapewne mieć do tego słuszne i sprawiedliwe powody, ośmielę się jednak spytać pana o nie, choćby tu zaraz, mimo iż to nie jest miejsce po temu właściwe. Gdy człowiek uczciwy wyciąga dłoń przyjazną do drugiego człowieka równie honorowego, ten nie może odtrącić tej dłoni, nie powiedziawszy przynajmniej dla czego tak czyni.

Słowa moje były ostre, czułem też jak serce Ernestyny zaczyna bić gwałtownie, jak drży cała.

— Jakieżby pan Clermont mógł mieć powody nie być u nas w Savenière? — wtrąciła nieśmiało — jestem najmocniej przekonaną, że nie będzie się dłużej opierał naszym prośbom usilnym.

— O! pani, z pewnością że nie! — zawołał pan Clermont z żywością, a miarkując się dodał ku mnie zwrócony:

— Na honor panie! najniesłuszniej posądzasz mnię jakoby o niechęć dla państwa. Nigdy mi coś podobnego w głowie nie postało.

I serdecznie moją dłoń uścisnął.

— Dziś pozwól mi pan odejść, a jutro nie omieszkam skorzystać z łaskawych zaprosin — dodał.

— Niech i tak będzie. Ale pamiętaj pan, że musisz nam wynagrodzić, odwidzając nas teraz często i na długo, po wiejsku; tyle czasu straconego daremnie.

— Sam na tem najwięcej skorzystam — grzecznie dorzucił.

Oddał nizki ukłon mojej żonie, mnię jeszcze raz za rękę uścisnął i znikł w zaroślach.

Nazajutrz nie wychodziłem już wcale z domu, czekając na niego. Przybył istotnie przed obiadem, a równocześnie zjawiła się u nas także pani de Moëlan. Zdawał się pamiętać jeszcze moje wymówki, gdyż miał minę zakłopotaną. Był nieśmiałym, prawie zawstydzonym. Starałem się uspokoić go i wprowadzić w dobry humor, unikając wszelkiej wzmianki o tem co zaszło między nami.

Co do Ernestyny, była tego dnia niby więcej ożywiona, jej ruchliwość jednak miała cechę chorobliwą. Okazywała mi czułość niezwykłą, zajmowała się mną wyłącznie, usługiwała z gorliwością żenującą mnie jako gospodarza, bo przecież raczej gościom należały się od niej te wszystkie atencje. Twarz jej była silnie zarumienioną, oczy pałające, ale jakimś ogniem błędnym, nienaturalnym. Zacząłem się lękać tych symptomów niezwykłych. Istotnie pod wieczór dostała silnej gorączki, była kilka dni w stanie dość niebezpiecznym. Wreszcie gorączka ustała, lecz zastąpiło ją osłabienie, więcej może jeszcze zatrważające.

Te ciągłe niedyspozycje Ernestyny, ta drażliwość i chorobliwość, były także źródłem ciężkich zgryzot dla mnie. Śmiejemy się nieraz z ludzi zajętych wyłącznie pielęgnowaniem zdrowia i wysławiających przy każdej sposobności ile dobre zdrowie pożytku przynosi. A trzeba samemu doświadczyć czem jest choroba w domu, by przyznać tym ludziom słuszność zupełną.

Dom cały przybiera postać tak żałobną, staje się taką pustką, bez ruchu i życia. Drzwi szczelnie zamknięte, okna pozasłaniane. Wszyscy chodzą na palcach, mówią cicho do ucha, jeżeli mają udzielić sobie jakiej wieści o chorym, lub wydać jakie polecenie. Zresztą głuche panuje milczenie. Mucha nie śmie zabrzęczeć, żeby nie przerwać snu, który jest dla chorego takiem dobrodziejstwem, a częstokroć ani w dzień ani w nocy cierpienia zasnąć mu nie pozwalają. Gdy się tak zawiśnie myślą i sercem nad ukochaną istotą, gdy w jej pokoju pełnym jęku i troski zamknie się chwilowo wszystkie nadzieje, świat nasz cały o! wtedy uczymy się cenić zdrowie dobre jako skarb najwyższy i chętnie mienialibyśmy ową dystyngowaną, przeźroczystą bladość, która powleka twarz nam tak drogą, na rumieńce silne, choć pospolite, któremi czerstwe zdrowie zwykło wybranych swoich malować.

Pan Clermont kilka razy z rzędu odwiedzał mnię, nigdy jednak nie mógł przyjść w naszym domu do zupełnej równowagi, do humoru swobodnego i wesołego.

Trzeba przyznać, że Ernestyna była więcej jak zimną dla niego. Wymówki które jej o to czyniłem, przyjmowała jak zwykle w milczeniu, ale ani na jotę postępowania z panem Clermont nie zmieniła. Ta wytrwałość do rozpaczy mnie przyprowadzała! Miałem zawsze wstręt nieprzezwyciężony do owego biernego uporu, który nie tylko łagodnością u kobiet nazywają, a który w końcu jest jak stal niezłomny i jak skała twardy. Nic ci nie odpowiedzą, nawzwajem się nie uniosą, nigdy do sprzeczki nie staną, jednak konsekwentnie przeprowadzą co zechcą, i ty ani się spostrzeżesz, kiedy ta niema, łagodna opozycja, ciebie właśnie pokona mimo że krzyczysz, tupiesz i hałasujesz. Byłem tak spragniony stosunków czulszych, a przynajmniej mogących mnię rozerwać chwilowo i zapełnić okropną próżnię, którą czułem wkoło siebie, że byłbym rad z duszy zawrzeć taki związek z panem Clermont. Upatrywałem w nim wiele podobieństwa z moim charakterem, z mojem usposobieniem. Spotykaliśmy się w sposobie zapatrywania wspólnego na świat, na ludzi. Obojętność dla niego Ernestyny, granicząca prawie z niegrzecznością, pokrzyżowała moje plany. Lecz daremny był mój gniew, wyrzekanie, wszystko się rozbijało o jej niezłomną, choć milczącą wolę, z której nawet wytłumaczyć się nie chciała. Wściekły, że nie mogłem pokonać jej kaprysu, mściłem się prześladując ją najwyszukańszą ironią, najdotkliwszym sarkazmem, im więcej jednak ja się unosiłem, im więcej byłem względem niej niemiłosiernym, okrutnym nawet, tem ona stawała się cichszą, cierpliwszą. Podobną była do męczenników chrześcijańskich, którzy w najstraszniejszych mękach im zadawanych, zamiast przeklinać i wyrzekać, zatapiali się w niemej za swoich katów modlitwie, i coraz wyżej oczy do nieba wznosili. Wstydziłem się w końcu sam przed sobą tej walki nierównej, i znowu serce moje wzbierało goryczą niesłychaną, przymuszone uznać całą wyższość Ernestyny nademną.

Widząc wreszcie, że gwałtownością nic tu nie poradzę, takie bierne charaktery bowiem są jak owe worki z ziemią, w których grzęzną kule armatnie, a mimo ich miękkości przebić tychże nie mogą, i daleko im łatwiej przychodzi skruszyć mury granitowe, zmieniłem taktykę zupełnie. Prześladowanie ciągłe z mojej strony, mogło tylko pogorszyć sprawę pana Clermont; gdy przeciwnie, jeżeliby go Ernestyna mogła poznać bliżej, byłem pewny że uczuje do niego, tak jak i ja żywą sympatję. Dotąd jednak pan Clermont przyjeżdżał tylko wtedy do Savenière, gdy mnie tam spodziewał się zastać. Odwidzał mnię wprawdzie częściej, ale nigdy na dłużej. Na to, żeby został kiedy przez cały dzień nie mogłem go dotąd namówić.

Nie będę wyliczał szczegółowo na jakie zdobywałem się wybiegi, by go zostawić kiedy sam na sam z Ernestyną. To wprawdzie nigdy mi się nie udawało, jednak przy coraz częstszych odwidzinach pana Clermont, Ernestyna zdawała się z nim cokolwiek oswajać, i traciła powoli nieznośną sztywność, z którą go dotychczas przyjmowała.

Pewnego dnia wracałem właśnie z pola, a wybierałem się do jednej z moich fabryk najbardziej oddalonych, gdzie moja obecność była potrzebną nieodwołalnie, i to natychmiast, gdy w tem spostrzegłem konia pana Clermont, którego masztalerz do stajni prowadził. Prosić Alfreda by na mnie zaczekał, wiedziałem, że byłoby nadaremnem. Kilka razy usiłowałem wyperswadować mu zbytnie skrupuły, zawsze rozbiłem się o upór równie niezłomny, choć ujęty w formy najdelikatniejsze, jak i u Ernestyny. „Tym razem zmuszę go do pozostania“ — a ponieważ wrócę zapewne bardzo późno, będzie nawet musiał u nas przenocować“ — skinąłem na masztalerza, ująłem konia pana Clermont za cugle, a wsiadając na siodło:

— Powiesz panu Clermont, że go przepraszam iż bez opowiedzenia konia jego biorę, ale go koniecznie na dziś potrzebuję — rzekłem służącemu, i po tych słowach odjechałem.

Wypłacając robotnikom za cały miesiąc, sprawdzając jeszcze i inne rachunki, zatrzymałem się istotnie nadzwyczaj długo, tak że dopiero późnym wieczorem wracałem. Skoro przed domem stanąłem, zapytałem o pana Clermont.

— Zaraz po panu i on się zabrał — odpowiedział mi służący.

— Więc zaprzęgli dla niego?

— Nie, odszedł piechotą.

— A pani gdzie?

— Zamknięta w swoim pokoju. Nie wyszła przez dzień cały.

Nie słuchałem dłużej. Byłem zupełnie zbity z tropu. Myślałem, że w tem długiem sam na sam, lody pękną, i zastanę Ernestynę w najlepszem porozumieniu, zabawiającą wesoło Alfreda, że się wspólnie uśmiejemy z mego wykrętu. Tymczasem mój gość odszedł piechotą, a moja żona chora prawdopodobnie, kiedy jej przez dzień cały nie widziano. Wybryk, który miał być żartem przyjacielskim, skoro zmusił pana Clermont do powrotu tak niewygodnego, stawał się nadużyciem i niegrzecznością w najgorszym tonie. Napisałem w tej chwili list przepraszający i konia odesłałem.

Pan Clermont był tyle grzecznym, iż przyszedł zaraz nazajutrz, by dowieść, że się wcale nie gniewa. Ponowiłem moje przeprosiny, które on przyjął z uśmiechem dobrodusznym, mówiąc że się czuje najszczęśliwszym, iż koń jego był mi dogodnym, jemu zaś zawsze najmilej iść piechotą.

W tym czasie nastąpiła wielka zmiana w postępowaniu ze mną Ernestyny. Otaczała mnię największą troskliwością na jaką tylko zdobyć się może kobieta kochająca, odgadywała moje chęci i pragnienia, czuwała sama nad moją wygodą, nad wszystkiem co się mojej osoby tyczyło. Poznałem i ja, tyle lat spuszczony na sługi i na ich niechętne, niedokładne starania, ile jest uroku i słodyczy w życiu człowieka, nad którym czuwa jedna z tych czarodziejek, zdających się magnetycznie przenikać nasze myśli najskrytsze, by nam we wszystkiem dogodzić, by nam raj stworzyć na ziemi.

Dziwna jednak sprzeczność uderzała w Ernestynie. Oddając się prawie namiętnie zadaniu, by mnie we wszyst-

kiem obsłużyć i zadowolnić, nie chciała przyjąć nawzajem odemnie żadnych dowodów uznania pracy podjętej. Jakby jeszcze wszystko co robiła, wydawało jej się niedostatecznem, przyjmowała wyrazy mojej wdzięczności, niecierpliwie, niechętnie prawie. Zdawała się cierpieć niewymownie, jakby w tych słowach, upatrywała li ironię z mojej strony. Gdy chciałem dobitniej czułość moją jej okazać, gdy ją okrywałem pieszczotami, zastygała mi w objęciu, oczy przymykała, ręce składała jakby w trwodze niewypowiedzianej, jakby do niemej modlitwy. Nie byłem tyle szczęśliwym, żeby wykraść niebu ogień święty. Marmur został marmurem, moja Galatea nie ożywiła się ani na chwilę, wprawdzie i tu nie sprzeciwiła mi się nigdy, czułem jednakże, że przyciskam do serca miłością pałającego trupa, a nie kobietę żyjącą.

Wreszcie i z tem się oswoiłem. Zacząłem uważać lodowatość Ernestyny na fizyczne kalectwo. Powiedziałem sobie na pociechę, że istota tak eteryczna, tak od ziemi oderwana, nie może odczuwać ziemskich rozkoszy. Postanowiłem nie zadawać jej więcej przymusu tak bolesnego, nie odwoływać się na prawa męża, by przynajmniej zyskać w niej siostrę czułą i przywiązaną.

Może niejeden uśmiechnąłby się złośliwie czytając ten ustęp, a nawet nazwał mnie niedołęgą. Mniejsza o to. Jak już wyżej powiedziałem, nie należałem do owych ludzi śmiałych, brutalnych, idących wszędzie i zawsze na przebój. Czyż miałem patrzeć wiecznie na cierpienie Ernestyny, by dogodzić tylko sobie samemu? Czyżby to było zgodne z moją szlachetnością, z poczuciem delikatności? Czyż miałem wreszcie prawo żądać od niej dowodów najwyższej miłości? Czemże dotąd na nią zasłużyłem? Czy dzieliłem z nią ciężką walkę przy syna urodzeniu? Czy byłem przy jej łożu boleści, gdy pierwszy raz ocierając śmiertelny pot z czoła, przyciskała to dziecię do serca? Czy podejmowałem z nią razem trudy, któremi otaczała pierwsze jego lata dziecięce? Czy spędzałem razem z nią noce bezsenne nad jego kołyską? Nic wspólnego nie było dotąd między nami. Gdy niczego od niej nie będę wymagał, gdy powoli przyzwyczai się uważać mnię jako miłego towarzysza, przyjaciela, brata, może z czasem ona sama zapragnie widzieć we mnie męża, kochanka? Ta myśl przejmowała mnię radością niewymowną. Bo czemże właściwie jest szczęście? Oczekiwaniem... Wszystko już spełnione, przestaje nas cieszyć, nadzieja zaś szczęścia zawsze w blaskach słonecznych nam się przedstawia. Byłem jak spragniony na brzegu źródła bijącego wodą zimną, kryształną. Dotąd wprawdzie nie ugasił pragnienia, czuje jednak, że może to w każdej chwili uczynić, zachwyca się naprzód tą świeżością, jaka go owiewa, myśli o rozkoszy gdy usta jego dotkną się tego boskiego nektaru.

Robiliśmy z Ernestyną dalekie przechadzki co wieczór, zachwycaliśmy się śpiewem słowika, lub fujarką pasterzy, która z daleka, słabym echem do nas dochodząc, czarowała swoim tęsknym, przeciągłym śpiewem, jakby flet prawdziwy. Nieraz staliśmy długo w miejscu wstrzymując oddech, żeby jednej nuty nie stracić. Czasem puszczaliśmy się łódką po Loarze przy blasku księżyca, który cudownie odbijał się w jej falach i rysował w kształty fantastyczne jej brzegi. Ernestyna najczęściej była zadumana i milcząca, zdawała mi się jednak weselszą, swobodniejszą, czasem nawet słaby uśmiech jej lica opromieniał. Wtedy przyciskałem serce ręką, żeby nie zdradziło swej radości biciem gwałtownem. Pochlebiałem sobie, że może i ja jestem objęty jej słodkiem marzeniem, że może właśnie do mnie się ten uśmiech stosuje...

Często byłem już prawie pewnym, żem przestał być Ernestynie obojętnym. Podziwiając poetyczne piękności przyrody, dusze nasze tak były zawsze zgodne, ożywione tem samem uczuciem uwielbienia dla Stwórcy wszechrzeczy, odpowiadały jedna drugiej jak dwa akordy dobrane harmonijnie, dlaczegóżby z czasem ta sympatja dusz nie miała się w miłość przekształcić. Rezygnując dobrowolnie z praw mężowskich, nie mogłemże spodziewać się kiedyś później, praw kochanka, o tyle milszych, że nie przymusem zdobyłbym je, lecz własnem staraniem i własną zasługą.

Nie wiem czy Ernestyna odgadła myśl moją, dość że moja delikatność zdawała się wzruszać ją głęboko. Była dla mnie coraz czulszą, okazywała mi więcej zaufania, ale zawsze jak siostra bratu. Daremnie wyczekiwałem postępu na tej drodze, miesiące mijały, a ja ani na krok dalej się nie posunąłem. Zrzuciłem z tronu męża, gdzie mnię prawo ludzkie i boskie posadziło, żebym jednak to miejsce opróżnione mógł zająć jako kochanek, dotąd nie było po temu ani promyka nadziei.

Tak więc wszystkie sposoby używane przezemnie, by trafić do serca Ernestyny były bezskuteczne. Gniew szalony, wybuchy namiętne, miłość gorąca, wreszcie rezygnacja i zdanie się niejako na jej łaskę i niełaskę wszystko było daremne. Serce Ernestyny zostało dla mnie zamknięte. Objeżdżałem tę skałę na wszystkie strony, stukałem, próbowałem, czy niema w niej szczeliny, którąby się można w głąb jej dostać. Skała nie miała dla mnie otworu, nie znalazłem wejścia do niej. Nie raz na nowo rozpacz mię brała, wracałem do uniesień, do gwałtownych wyrzekań na mój los nieszczęśliwy, dość było jednakże jednego czulszego spojrzenia Ernestyny, słówka z jej ust łagodniejszego, łzy błyszczącej w jej oku, by mnię przywieść do opamiętania, a nawet wzbudzić w duszy słodkich na przyszłość nadziei. Dusza człowieka tak jest stworzona, że wiecznie buja, jak łódź samotna rzucona na wielki ocean, między uśmiechem nieba jasnego, zsyłającego jej nadzieję, a falą zdradliwą zwątpienia i rozpaczy, za pomocą których to uczuć piekło stara się ją dla siebie pozyskać.

Nie wiem jak długo byłby trwał między nami ten stosunek anormalny, gdyby straszny wypadek nie był przyspieszył rozwiązania dramatu naszego życia.

Panował w okolicy tyfus bardzo zjadliwy, jak zwykle choroby mające charakter epidemiczny. Mimo próśb moich Ernestyna oddawała się ratowaniu chorych, przyjmowała u siebie ich krewnych, udzielając im lekarstw, a nawet bez mojej wiedzy odwidzała kilka razy domy chorobą nawiedzone, w czem jej gorliwie dopomagał pan Clermont. Pewnego dnia zbudzono mnie bardzo rano, by mi dać znać, że „pani“ mocno zasłabła. Zerwałem się przerażony i zaledwie odziąwszy się cokolwiek, pobiegłem do jej

pokoju. Zastałem ją w stanie okropnym! Rozpalona jak żarzące żelazo, leżała bezprzytomna, z oczyma w słup, mówiąc ciągle bez sensu i związku. Było to coś, jak szum skrzydeł wiatraka. Słów kaskada spadała z jej ust tak szybko, że nawet rozróżnić ich dźwięku trudno było. Chciałem właśnie posyłać po pana Clermont, gdy wszedł niespodziewanie.

— Wczoraj przy kolacji, uważałem już w pani de Puineuf, niezwykłe rozdrażnienie — tłumaczył mi swoje zjawienie się u nas o tak wszesnej godzinie — wstąpiłem cichutko by dowiedzieć się od sług, co się u państwa dzieje, a tu spotkała mnie wieść straszna, że obawy moje nie były niestety bez podstawy.

Ustąpiłem mu miejsca przy chorej. Pukał, brał za puls, podnosił powieki. Ah! takie szklanne! takie bezprzytomne były te cudne oczy! twarz jego stawała się coraz bledszą, wyraz jej coraz więcej ponury, usta drgały jakby bolem wewnętrznym; wreszcie obrócił się do mnie:

— I cóż jej jest?! — zawołałem.

— Tyfus mózgowy — odrzekł głucho.

— Ale pan ją uratujesz?! — krzyknąłem chwytając go konwulsyjnie za obie ręce.

— Nie wolno nam tracić nadziei do ostatniej chwili — odrzucił głosem złamanym.

Skamieniałem! Ton jego mowy, a więcej jeszcze bladość trupia jego oblicza, wzrok spuszczony ku ziemi, kazały mi domyślać się najgorszego! Upadłem na fotel z głuchym jękiem.

Mijały dni i noce, a stan Ernestyny był zawsze jednakowy, tylko sił widocznie ubywało. To ciało wiotkie, słabe, coraz mniej oporu stawiało wrogowi zaciętemu, który go napadł z nienacka, i nie chciał więcej ze szpon swych wypuścić. Pan Clermont walczył z chorobą zawzięcie. Co tylko kiedy wymyśliła medycyna, przywodził sobie na pamięć. Gorliwość jego była bezprzykładną! Nie jadł prawie, nie spał, dzień i noc zajęty przy łożu chorej, wszystko sam urządzał, wszystkiego sam pilnował. Z początku nie poddawałem się rozpaczy, starałem się zachować przytomność, by mu być o ile mogłem pomocnym, łudziłem się nadzieją, którą rozum mój potępiał, a serce jednak jej się chwytało, jako deski ratunku, bo nie mogło nie chciało uwierzyć w cios, który go czekał. Wreszcie rozpacz, trwoga, noce bezsenne tak mnie zmogły, że byłem jak sparaliżowany. Siedziałem w pokoju Ernestyny nieruchomy, bez głosu, z oczyma w jej łoże utkwionemi. Widziałem jak przez sen kręcące się po pokoju kobiety służebne, widziałem tego człowieka, jak śmierć bladego, jednak tak wytrwale spełniającego swoje wielkie posłannictwo. Jakiś lęk dziecinny, zabobonny brał mię czasem na jego widok. Czy ten człowiek ze stali? — myślałem — czy to może upior, który przyszedł zabrać mi to życie najdroższe, za które tak chętnie moje własne bym ofiarował? Daremnie chciałem pokonać tę bezwładność, wyrwać się z tego koła zaczarowanego halucynacji, które mózg mój jak węże opasywały... nie mogłem! Byłem jak topielec, który widzi nad sobą jasność nieba, zieloność brzegi barwiącą, a nie jest wstanie przebić szklistej powierzchni, która go oddziela od ziemi... od życia!

Czasem przecie ruch gwałtowniejszy około Ernestyny, jęki chorej bardziej przenikające, budziły mię z tego stanu letargicznego. Zrywałem się tłumiąc gwałtem łkania, ocierając z łez oczy, by mnię przed chorą nie zdradziły, i biegłem do jej łoża boleści. Może ona mnię wzywa, może mnie potrzebuje?

O! niech ten nic nie mówi o cierpieniu, kto nie przeszedł takich mąk piekielnych, kto nie czuwał nad łożem kobiety umierającej, a nad wszystko ukochanej! On nie pił z tej czary zatrutej, w której na dnie czarna rozpacz się mieści. On nie zrozumie, że minuty wtedy wloką się leniwo jak długie godziny, a godziny wiekiem się stają! On nie pojmie jak to się wstrzymuje oddech, bicie serca własnego, by śledzić u chorej każde pulsu uderzenie, by nadsłuchiwać, czy jej oddech nie staje się mniej świszczącym.

O dni! o noce straszne! Ja też mogłem z Dantem powiedzieć „że za życia przeszedłem przez piekło“!

Tortury, na jakie byłem skazany, stały się wreszcie nie do zniesienia. Uciekałem z pokoju chorej, a znalazłszy się u siebie, to padałem na kolana zalewając się łzami i błagając Boga o cud Jego miłosierdzia nad nami; to zrywałem się, bolem rozszalały, wyciągałem ku niebu pięści skurczone, złorzeczyłem Bogu, nazywając Go tyranem, nieczułym na łzy i jęki ludzi, sędzią nieubłaganym w swych wyrokach niesprawiedliwych! Chociaż nauczyłem się później nienawidzieć straszliwie, nie dosyć jednak, żeby życzyć najcięższemu memu wrogowi mąk piekielnych, które wtedy przeszedłem.

— Niechby już umarła! — wołałem nieraz głosem przerażającym — niech się nie łudzę daremnie! Lepsza rzeczywistość najstraszniejsza, niż takie śmiertelne oczekiwanie. Gdy jej nie stanie, toć i ja nie mam więcej co robić na ziemi. Cóż mi po życiu bez Ernestyny?

I znowu za chwilę przerażałem się sam miotanemi bluźnierstwami, znowu zaczynałem modlić się gorąco, prosząc bodaj o zwodniczy promyk nadziei!...

Istotnie! Ernestyna była konieczną do mojej egzystencji. Można przeżyć — myślałem sobie — kobietę, która była jedynie krótkim epizodem w naszem życiu, kwiatem pięknym, rzuconym na naszą drogę. Wprawdzie podnieśliśmy go z ziemi i do ust przycisnęli, póki był wonnym i świeżym, był to jednak kaprys naszych zmysłów, a nie miłość prawdziwa. Można także przeżyć żonę, nad wszystko ukochaną, jeżeli ta zostawia nam liczną rodzinę. Jedną ręką odchodząc wskazuje nam niebo, gdzie się spodziewa na wieki połączyć z towarzyszem tej ziemskiej pielgrzymki, a drugą ku dzieciom obraca, żeby nam przypomnieć, że dla nich koniecznie żyć trzeba. Pierwsza zostawia wprawdzie próżnię po sobie, jakże jednak łatwo ją zapełnić. Druga zostawia żal głęboki, ranę nigdy nie zgojoną, jednocześnie atoli, zlewa na nas obowiązki swoje, robi ojca podwójnie odpowiedzialnym za dobro dzieci, których zostaje jedynym opiekunem. Dla mnie Arturek jakby nie istniał. Straciłem go prawie z oczu zrażony jego niechęcią. Gdy Ernestyna umrze jakaż mi pociecha zostanie? Nie miałem dotąd w pożyciu z nią przeszłości, nie miałem teraźniejszości. Myślałem, że przyszłość wszystko mi wynagrodzi, że ciągłem staraniem wywalczę sobie szczęście, a tu los nieubłagany wydzierał mi jedyny cel życia! Jak

Ikar, podniosłem się śmiałym lotem od ziemi, a na pół drogi do nieba, czułem jak moje skrzydła łamią się i znikają. Dobrowolnie usunąłem usta spragnione, od czary szczęścia i rozkoszy, łudząc się nadzieją, że kiedyś do dna ją wychylę, że mi ją poda Ernestyna sama, czara atoli rozpryskała mi się w ręku! Czułem, że wielkie boleści, nie robią jeszcze życia niemożebnem — w tych częstokroć duch się nasz hartuje, jak stal w ogniu — gdy atoli kwiat naszych uczuć zwiędły i zdeptany, zostanie bez owocu, gdy wszystko nas zawiedzie, czegośmy pragnęli, do czegośmy całem życiem dążyli... wtedy niemamy co robić dłużej na tym świecie!

Nie pomnę, którego to dnia było, gdyż straciłem był rachubę od dawna dni i nocy przebytych... gdy na śmierć znużony, leżałem nierozebrany w moim pokoju, a nawet spałem, mimo troski i zgryzoty, które mnię ogromem swoim przygniatały. Jest to prawda niezbita, że przychodzi chwila, gdzie ciało bądź co bądź upomni się o swoje prawa, i człowiek ani się spostrzeże, kiedy im uledz musi. Sen mój był gorączkowy, niespokojny. W tem dał się słyszeć odgłos dzwonka kościelnego na korytarzu. Zerwałem się na nogi. Więc już tak jest źle z Ernestyną? Nie miałem odwagi pójść do jej pokoju, nie chciałem zresztą przerywać jej ostatniej tu na ziemi z Bogiem rozmowy... wybiegłem do ogrodu. Na początku alei lipowej, siedział na ławie kamiennej, z rękami rozpaczliwie we włosy wplecionemi, pan Clermont.

I on strasznie wyglądał. Wyciągnąłem do niego ramiona, jak do brata rodzonego, bo czyż nie niósł razem ze mną krzyża cierpień? Czyż nie był nawet wytrwalszym w tem niż ja? Rzucił się na moje piersi, i załkał na głos cały. Gdy się cokolwiek uspokoił:

— Jak długo jeszcze żyć może? — spytałem.

— Najwięcej godzinę! — i nazad upadł łkając na ławkę.

Nie spodziewałem się tak krótkiego terminu. Jak pod uderzeniem piorunu cały zdrętwiałem! Wiedziałem że żyć nie może... wszystko mi zapowiadało jej rychły zgon, jednak było dla mnie przerażającem usłyszeć, że już minuty jej życia policzone. Jeszcze godzina, a z mojej pięknej Ernestyny, zostaną li zwłoki, zimne, wstrętne, okropne do widzenia!...

Wleciałem do jej pokoju, chwytając powietrze ustami, bo mi tchu brakło, a nogi chwiały się podemną... Wchodząc usłyszałem płacz rzewny... Artur trzymał matkę za rękę, jęcząc żałośnie, ksiądz, miły i siwy jak gołąb staruszek, patrzał z rozrzewnieniem na ten kwiat, tak wcześnie podcięty i szeptał modlitwy za konających.

Upadłem na kolana z drugiej strony łóżka, ukryłem głowę w poduszki, a chwyciwszy za rękę Ernestyny, która leżała obok mnie bezwładna, okrywałem ją pocałunkami, oblewałem łzami rzewnemi. Rozdzierające krzyki dziecka, wróciły jeszcze iskrę życia konającej. Drgnęła, oczy otworzyła, uniosła się nawet trochę na poduszkach, a wodząc wzrokiem dość przytomnym odemnie do Artura, zawisła oczami na tym ostatnim. Uwolniła i drugą rękę z mego uścisku, by złożyć obie dłonie na ciemnej główce syna, jakby z ostatniem błogosławieństwem. Nagle znowu wzrok ku mnie zwróciła, taki rzewny, taki błagalny! i zaczęła drżącą ręką szukać mojej dłoni. Wyraźnie żal uczuła, że w tej ostatniej chwili, wyłącznie o synu myślała. Ująłem tę rękę mokrą od łez moich i od potu śmiertelnego, uczułem lekkie ściśnienie, otworzyła usta jakby coś mówić chciała, głosu jednak dobyć już nie mogła, uśmiech anielski zaigrał na jej ustach konających, oczy wzniosła do nieba... i z cichem westchnieniem usunęła się na poduszki... Uczułem zimno lodowate w mojej dłoni... jęk i płacz wszystkich kobiet służebnych rozległ się w pokoju... Anioł mój cichy wrócił do nieba!... Zemdlałem...

Cóż mówić o mojej boleści? Czyż są słowa dość wymowne, żeby ją mogły określić? Rozpacz moja nie miała granic, wybuchy gwałtowne przez cały dzień się powtarzały, wreszcie samą swoją gwałtownością zużyły resztę sił moich. Wpadłem w stan zupełnego odrętwienia, przestałem jęczeć i narzekać. Siedziałem w pół zgięty na jednem miejscu, oczy w jeden punkt utkwiwszy, od czasu do czasu tylko, coś mię w sercu zakłóło, jak uderzenie sztyletu, ale nie umiałem nawet zdać sobie sprawy, co mnię tak boli okropnie!

Każdy, kto przechodził przez wielkie boleści moralne, zna ten stan letargiczny, w którym dusza zdaje się odpoczywać i usypiać, po katuszach przebytych. Łatwo pojąć, że po takich gwałtownych wstrząśnieniach, albo musi serce pęknąć na razie, lub też następuje reakcja; nerwy się rozprzęgają, serce bije zaledwie, głowa zmęczona myśleć przestaje, człowiek zapada w atonję, która nie jest jeszcze śmiercią, ale i życiem niewarto jej nazywać. Powoli zacząłem się oswajać z mojem nieszczęściem, zacząłem pieścić się z moją boleścią. Myśli, które nim fakt został spełnionym, byłyby mnię do rozpaczy przyprowadzały, teraz wywołały jedynie cichy smutek. Rozrzewniałem się sam nad sobą, nad mojem sieroctwem, nad mojem opuszczeniem. Zdawało mi się, że płaczę nad kimś innym, który jest tak bardzo, bardzo nieszczęśliwym! (Dokoń. n.)

W drukarni narodowej W. Manieckiego przy ulicy Grodzickich l. 4.